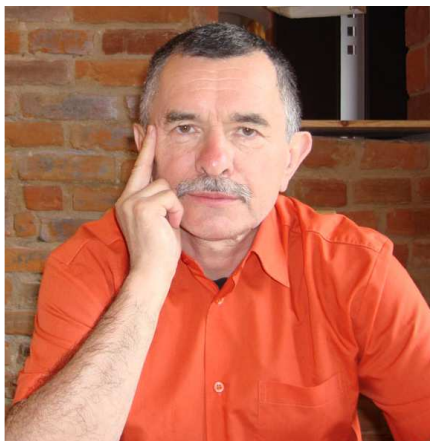


JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (42)

(fragmenty)



Czekamy aż mnie zaniosą

Spotkałem na ulicy starego wielkiego pisarza. Szedł z pochyloną głową tak, jakby stracił trop, jakby zwał mu sprzed nosa świat.

Spotkałem też na tej samej krakowskiej ulicy (Szewskiej) hożego osiemdziesięciolatka, dziennikarza i satyryka Brunona Miecugowa. Zapytał mnie, co robiłem w Święto Zmarłych. Odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, że zapaliłem świeczki na grobach moich zmarłych w Borzęcinie.

– A ty byłeś na cmentarzu? – zapytałem.

Przez chwilę się zastanawiał, a następnie z bardzo poważną miną odparł: – Wiesz, stary, ja już od pewnego czasu nie chodzę na cmentarze... Czekam, aż mnie zaniosą.

Gdy się pożegnaliśmy, przypomniałem sobie, że przy naszym ostatnim spotkaniu, a było to z półtora roku temu, gdy władzę w kraju obejmował PIS, Miecugowa zapytany przeze mnie, czy jest nadal połowicznym abstynentem (co oznaczało w jego języku, że pije wódkę, lecz jej już nie stawia), odrzekł z równie poważną miną: – Nie, już nawet nie piję, bo się boję, że mi się Kaczyńscy zaczną w oczach troić.

Bruno był kiedyś autorem kapitalnego powieściowca związanego z piłką nożną. Kiedy wszyscy emocjonowali się kolejnym Mundialem, powiedział z zafrasowaną miną absolutnego dyletanta: – A ja to się dziwię, dlaczego 22 graczy biegną za jedną piłką. Czy nie ciekawiej byłoby, gdyby im wrzucić na boisko dwie piłki?

W Krakowie mieszka się najlepiej... po śmierci

Na wieczorze autorskim z okazji Warszawskich Dni Literatury w siedzibie pisarzy na Krakowskim Przedmieściu – na jednego występującego poetę (a było ich poza mną dziewięć), przypadało mniej więcej dwoje słuchaczy.

Zażartowałem z Ernesta Brylla (jakoś spadł z wagi, odkąd przestał być ambasadorem), że w jego Warszawie nie potrafią nawet porządnie zorganizować spotkania autorskiego, bo poza polityką nic ich tu nie interesuje. Ernest odciął się, że za to mój Kraków to miasto, w którym

mieszka się najlepiej po śmierci...

Przypadło mi to do gustu i powiedziałem mu, że na ulicach Krakowa można się rzeczywiście natknąć na poruszające się ulicami figury woskowe, reprezentujące minioną sławę i chwałę. Kiedyś pisali, dziś tak są zajęci reprezentowaniem siebie, że nie mają czasu na twórczość. Zresztą mogliby pisaniem umniejszyć czy zarysować własny doskonale ukształtowany obraz. Każdorazowy akt twórczy kryje w sobie przecież coś nieprzyzwoicie infantylnego – to jakby ryzyko wiwisekcji dusznej, trud wnikań w barbarzyński trzewia, przenicowywania własnej nicości, trud zaczynania wszystkiego od nowa. Oni tymczasem chcą trwać nieporuszenie w genialnych pozach i starzeć się z godnością żywych pomników.

Pojedynczy członkowie z tego krakowskiego gabinetu figur woskowych zbierają się parę razy w roku w jakimś salonie i wygłaszają swoje „były”, jak i oni sami – hermetyczne wiersze, głosem doskonale nic niewyrażającym, uważając, by się, broń Boże, nie odsłonić, z jakimś ludzkim uczuciem, bo by ich to zdradziło, że są podobni do innych śmiertelników...

Po wieczorze gościł mnie bardzo serdecznie Wojasiński: Kasia i Rafał, w rozmowie z którymi nie odczuwam żadnej różnicy pokoleń, choć mógłbym być ich ojcem, bo są w wieku moich córek. Rafał to bardzo zdolny młody prozaik, autor m.in. chwalonego przez krytykę „Złodzieja ryb” i „Przyjemności Żyda”, laureat tegorocznej krakowskiej Nagrody Fundacji Grazella, do czego jako juror przyłożyłem rękę.

Wiersze wyprane

W drodze do Warszawy przeczytałem w „Twórczości” znakomity esej wspomnieniowy Barbary Czochraleskiej o Stachurze w Ameryce. Ta pani profesor biofizyki o czymkolwiek pisze – zapuszcza zawsze sondę w sprawy ostateczne, eschatologiczne, metafizyczne. W jej pisaniu o fizyce jest poezja, a w pisaniu o poezji jest fizyka.

Wracając zaś z Warszawy do Krakowa – obczytałem wspomnienia Stefana Zweiga z książki „Świat wczorajszy”. Opowiadając o dawnym Wiedniu, pisze m.in., że artysta czuje się najlepiej i jest najbardziej twórczy wtedy, gdy go wysoko cenią, a nawet przeceniają, czyli gdy nie tworzy w próżni. Sztuka osiąga szczyty, kiedy staje się sprawą życiową całego narodu. Przecież tak było w Wiedniu sprzed I wojny światowej, gdzie kwitła wspaniale nie tylko muzyka, osiągając szczyty. Podobnie było ongiś, w Odrodzeniu, gdy Florencja i Rzym przyciągały malarzy i wychowywały ich na wielkich artystów, bo każdy z nich czuł, że w ciągłym współzawodnictwie na oczach widowni musi prześcignąć innych i siebie.

Cokolwiek by powiedzieć o czasach zgrzebnego PRL – zainteresowanie dla wysokiej sztuki nobilitowało tzw. myślącego Polaka, wolność wyzwolonej wyobraźni artystów (w teatrze, muzyce, literaturze, malarstwie, a nawet kabarecie) służyła przełamaniu w sztuce zniewolenia w polityce, a pociąg ku wartościom duchowym rekompensował brak towaru. Dziś dzięki szklanemu ekranowi konsumujemy papkę, czyli oglądamy głupiutki serialowe tasiecmce i słuchamy infantylnych zwierzeń aktoreczek i

podfruwajek-piosenek. Co ambitniejsze programy albo znikły albo są nadawane w godzinach duchów. Co gorsze – idole z sieczką w głowie biorący udział w „tańcach gwiazd”, „grających szafach”, „bigbraderach”, konkursach piosenkarskich dla amatorów, programach kopiujących jota w jotę zachodnie wzory – są odbierani przez masy jako polska elita.

W związku z tym wysoka kultura jest właściwie na trzecim planie, a pisarze, poeci i myśliciele odprawiają swoje dziwne rytuały w przysłowiowych katakumbach – przed pustą widownią. W dodatku poeci w większości przestali wierzyć, że komukolwiek poza sobą są potrzebni i piszą pod siebie, dla siebie, sobie a muzom, rezygnując z próby zawalczenia o szerszą publiczność. Niektórzy ocknęli się z tego z ręką w nocniku, sfrustrowani, że nikt ich książek nie kupuje, mimo że wychwalają się nawzajem w niskonakładowych pismach literackich.

Powstaje błędne koło: brak szerszego zainteresowania literaturą powoduje obniżenie poziomu przede wszystkim pozostawionej samopas poezji. Najpiękniejsza i najszlachetniejsza sztuka operowania słowem, z którą jeszcze za życia Miłosza, dzięki jego autorytetowi, liczone się w Polsce, traci na znaczeniu i jest traktowana jak piąte koło u wozu. Poeci z własnej winy tracą z oczu wrażliwego odbiorcę, jeśli taki jeszcze jest, a że jest – przekonuję się na spotkaniach autorskich. Zresztą, najlepszym dowodem, że wrażliwi odbiorcy poezji istnieją i że można dla nich wiele zdziałać, są rozsiane po Polsce salony poezji Ani Dymnej, która więcej zrobiła dla poezji niż kolejni ministrowie kultury. Wystarczy powiedzieć, że na istniejącym już od pięćdziesięciu lat coniedzielnym krakowskim Salonie Poezji o 10.30 zjawia się w foyer Teatru Słowackiego przeciętnie od 150 do 300 osób! Ale zarówno poezja tu prezentowana jest przednia, jak i jej oprawa: recytujący ją znakomici aktorzy.

Z kolei wiersze drukowane w niskonakładowych magazynach literackich, w tomikach i na wielu stronach internetowych obracają się najczęściej wokół pępka autorki (autora), brną w wielosłowiowizm, przypominają usypisko słów bez ładu i składu. Towarzyszący im krytycy z tego samego pokolenia polonistyczną grypserską wynoszą pod niebo zabawy smutnych dekonstrukcjonistów. I jedni, i drudzy odtrącają od poezji resztki tzw. normalnych czytelników. Na poezji – jak się to potocznie myśli – nikt się nie zna, więc wszystko można wylansować, narzucić i mieć w d... czytelników, którzy z kolei mają w d... poetę.

W tym roku jurorowałem w kilku konkursach poetyckich. Przczytałem kilograpy wierszy i wiem co nieco o współczesnej młodej poezji. Bez odbiorcy zdaje się ona dziczeć, wykoślawiać i samotnieć. Zachowuje się jak stary kawaler, który zdziwaczał, zapuścił się, nikt go nie rozumie i on z nikim nie próbuje nawiązać kontaktu.

cdn.

